



Z WYSTAWY ZDOBNICTWA LUDOWEGO W WARSZAWIE.



WYCIECZKĄ KSIEŻAKÓW NA WYSTAWIE

fol. J. Niekrasz

DWIE ŚWITEZIE.¹⁾ ⁶⁾

Druga Świtez, w mowie ludowej Switiaz zwana, leży na pograniczu Wołynia od strony ziem grodzieńskich. O niej w literaturze naszej nie wspomina się wcale. W słowniku geograficznym ziem polskich znajdujemy dopiero wzmiankę o niej w suplementie, gdzie powiedziano, że u Długosza nosi nazwę Swythaz, że leży w zlewisku Prypeci, w powiecie kowelskim. Należało do dóbr Rutna. Według Długosza jezioro leży w dawnej ziemi chełmskiej przy wsi tegoż nazwiska ma 5 mil obwodu, a dwie długości, obfituje w wyborne ryby.

Na mapie sztabu generalnego rosyjskiego jezioro nosi nazwę Switiaz.

Dopiero w roku 1909 dnia 22 sierpnia, w „Kurjerze Warszawskim” ogłoszono felieton pod nagłówkiem Świtez i Świtez. Felieton pióra p. Wł. Renarda, barwny i poetyczny, osłania tę drugą Świtez mgłą legend, a zarazem zabarwia ją dużą dozą fantazyi poetyckiej, którą wprost zmyśloną nazwać musimy. Opis p. Wł. Renarda przytaczam w wyjątkach, ażeby go można było porównać z opisem naszym, a zarazem wyłączyć wszystko to, co jest owocem bujnej wyobraźni p. Renarda.

...,Pośpieszam dalej do Szacka, który na opalowym tle horyzontu widzę rozciągnięty malowniczo nad brzegiem jeziora.

Ujechawszy zaledwie jakie pół wiorsty, spostrzegam ze zdziwieniem po drugiej stronie szosy — drugie jezioro, mniejsze od Lećmierza, ale również nie małe. O niem „Słownik geograficzny” Sulimierskiego nic nie wspomina. Może i o tem je-

ziorze objaśnią mnie w Szacku, do którego właśnie dojechałem.

Przy wjeździe do wsi przywitał mnie jakiś poważny gospodarz, który, jak się okazało przy pierwszych słowach rozmowy, był na moje szczęście ni mniej ni więcej tylko samym panem „gminnym starszyną”.

Zaproszony przez tego miejscowego władcę do kancelaryi gminy, zastałem tam gorący samowar, świeży chleb i świeże masło, czyli słowem wszystko, czego tylko w takich warunkach dusza zapragnąć może. Przy herbacie indagowałem, o ile można, moich gospodarzów, i dowiedziałem się, że jakkolwiek w „Słowniku geograficznym” nie ma zupełnie wzmianki o drugim jeziorze szackiem, nosi ono od wieków nazwę „Jeziora czarnego”.

— Ale, proszę pana, mówił mi starszyna — największe jezioro nasze to pan zobaczy niedaleko od nas w Świtezi.

— Jakto w Świtezi? Przecież Świtez jest jezioro? same? — pytałem zdziwiony!

— Tak, jest jezioro Świtez, a nad jeziorem jest wieś Świtez.

— Tu u was?

— A u nas... niedaleko... o trzy wiorsty... w naszej gminie... Jezioro wielkie... wielkie... największe na Polesiu, a na dnie to miasto zatopione stoi i Świtezianki po wodach pływają...

— Ależ to nie może być — oponowałem — jest jezioro Świtez, o którym tę samą legendą opowiadają, ale ono leży w mińskim województwie, około miasta Nowogródka.

Wyjąłem notatnik i przeczytałem starszynie wyciąg ze „Słownika geograficznego”; (Tom XI, str. 722). „Świtez, jezioro w powiecie nowogródzkim, w gminie Rajcy, w pobliżu miasteczka Szacka¹⁾ i gościńca handlowego z miasteczka Horodyszcz do miasteczka Walówki, o trzy wiorsty na południe od wsi Jatwież. Największe w powiecie, kształtu prawie okrągłego zajmuje 8 włók, 9 morgów i 150 prętów przestrzeni — brzegi północny, wschodni i południowy obrosłe lasami. Ma na brzegu sitowie, dno piaszczyste. Według podań ludowych, jezioro to pokrywa zatopiony na dnie zamek i miasto, które zapadły się w topieli wodnej, na prośbę bezbronných niewiast, kiedy gród napadł liczny nieprzyjaciół. Jan Zawisza, czyniąc tu poszukiwania archeologiczne w r. 1871, znalazł na otaczającym wale w nieznacznej głębokości czerepy od naczyń bardzo pierwotnych, oraz odla-

¹⁾ Szkoda, że p. R. nie wyjaśnił w tem miejscu „starszynie”, że ten „Słownik” informuje błędnie. — W pobliżu Szacka leży właśnie Świtez nie nowogródzka, a wołyńska (P. red.).

¹⁾ Wskutek nieczytelności rękopisu do cennego artykułu prof. B. Dybrowskiego „Dwie Świtezie” wkradły się liczne błędy drukarskie, które niniejszem sprostować pośpieszamy, wyrażając zarazem szczerze ubolewanie z powodu omyłek, których praca jego padła ofiarą.

Nr 5, str. 77, kolumna lewa, wiersz 20 od dołu: czytaj *Lećmierskiem* zamiast *Sećmierskiem*.

Nr 6, str. 92, kolumna lewa, wiersz 9 od dołu, czytaj *Czereszle* zamiast *Czereszki*.

Nr 6, str. 93, kolumna prawa, wiersz od dołu 11, czytaj: *rajczański* zamiast *rojczanski*; na tej samej str., w tejże kolumnie, wiersz 15 od dołu zamiast *Rojce*, czytaj *Rajce*.

Nr 7, str. 104, kolumna prawa, wiersz 3 od dołu, czytaj *chrysitis* zamiast *sitis*;

Nr 7, str. 105, kolumna prawa, wiersz od dołu 12, czytaj *Ochłapkowa* a nie *Ochlupkowa*.

Nr 8, str. 134. Mapa Świtezi, zamiast: „podług pomiarów p. Bolesława Domeyki” czytaj „podług pomiarów p. Bolesława *Daniewki* (właściciela Korošny, którego przodkowie mieli w posiadaniu Tuchanowicze i cały klucz korošniański).

mki krzemienne, ale koloru czarnego, przezroczyste-
go. Lud miejscowy powiada o zjawiających się na
jeziorze wodnicach, które zowią Świteziankami, a
to podanie posłużyło Mickiewiczowi za osnowę do
znanej powszechnie pięknej ballady". No i cóż?—
zapytałem.

— Nie
wiem, proszę
pana, dla-
czego jest
tak napisano
„o jakiejś
tam litew-
skiej baj-
rze, ale to
wszystko
jest wieru-
tne kłam-
stwo. Nasza
Świtez jest
prawdziwa
Świtez, u nas
jest miasto
na dnie i po
naszem je-
ziorze Świ-
tezianki pły-
wają... mają
przynaj-
mniej po-
czem... Stary „did” Mikita, co sam nie wie ile ma
lat, może wam, panie, powiedzieć, że to samo da-
wniej jeszcze ojcowie naszych ojców gadali, a zresz-
tą „w naszych książkach” inaczej napisane jest o
tem wszystkim... pokażcie-no, pisarzu!

Pisarz wstał i przyniósł mi z drugiego pokoju
„Słownik encyklopedyczny Brockhauza” (Wyda-
nie lipskie; Petersburg, 1900 r., Tom XXIX), w któ-
rem przeczytałem następującą informację:

„Świtez... Jezioro w gub. wołyńskiej, w po-
wiecie włodzimierskim, około granicy z gubernia-
mi: grodzieńską i lubelską, między siołami Szack
i Pulmo. Długość 8³/₄, wiorsty, szerokość do 5 wiorst.
Głębokość bardzo nierównomierna i dochodzi po-
dług objaśnień miejscowych rybaków do 35, a na-
wet 40 sążni głębokości. Fauna rybna bogata. Podług
podań, na dnie jeziora znajduje się zatopiony za-
mek i miasto, które się zapadły pod wody wsku-
tek próby bezbronnych kobiet podczas napadu
nieprzyjaciela. Legendy miejscowe posłużyły ja-
ko temat Mickiewiczowi do utworów jego „Świtez
i Świtezianka”.

Straciłem rezon kompletnie, a starszyna tryum-
fował, widząc moją niepewną minę; — wreszcie u-
przejmie zaproponował mi, że jadąc dziś za jaką
godzinę do siola Świtez, chętnie zabierze mnie z so-
bą. Po upływie oznaczonej przedtem przez star-
szynę godziny, weszła do pokoju młoda „diwczyna”

i oznajmiła,
że konie na
nas czekają.

Okazało,
bo liczące
przeszło 600
dymów siola
Szack, pozos-
tawiłszy
na boku,
skręcając ku
północy wą-
ziutką dro-
żyną, prze-
cinającą za-
raz za wsią
wydmę pia-
szczystą,
bielejącą
wśród wiel-
kich łąk sza-
ckich jasną
plamą około
2-ch wiorst
obwodu.



WYDMY PIASZCZyste „Tatarskie Cholmy”
KOŁO PULMY NAD ŚWITEZIĄ

fol. B. Danieyko

— Mój starszyno, jakim sposobem pomiędzy
takimi moczarami i bagnami znalazły się tu wy-
dmy piaszczyste? Powiadają starzy — objaśnił mnie
komicznie kaznodziejskim tonem mój cicerone —
że wydmy te „didko” u nas porozsiewał. Kiedy Pan
Bóg stworzył świat cały i chwalił się z tego „didko”,
to po naszymu czort, chciał naśladować Boga i także
coś stworzyć... Ta i stworzył, ot tam niedaleko na-
wet od nas, tam jak słońce na „swoją pościel” wie-
czorem patrzy... Nazywa się ten kraj „Podlasie”.
Tam nic więcej niema, tylko piaski i piaski... Idąc
tworzyć na Podlasie swoje, szedł „didko” przez na-
sze strony i niósł piasek na posiew w garści, a jak
mu się tam jakie ziarno przez palce przemknęło,
zaraz taka wydma z tego jednego ziarnka urosła.
Te wydmy i teraz ciągle rosną i powiększają się...
Mówią, że im ludzie gorsi, tem one więcej rosną...
Ja sam pamiętam jeszcze, jak ta wydma nie docho-
dziła do wiatraka, a teraz już Saskie wały zasypała.

(DCN)

Dr. Ben. Dybowski.

DWORY, ZAMKI I PAŁACE.



23. Pałac w Stoku.

fol. t. Wyszyński

Kilka wiorst za Siedlcami leży obszerna wieś—Stok Lacki, na krańcu której stoi ukryty wśród zieleni drzew zaniedbany pałac, wybudowany w r. 1872 przez ówczesnego właściciela tych rozległych dóbr — Józefa Wyszomierskiego. Przed dwudziestu laty dobra stockie zostały rozparcelowane, olbrzymie lasy wycięte, pozostał tylko pałac, jako smutny świadek przeszłości, położony wśród niewielkiego parku.

Stefan Wyszyński.

TYNIEC.

Prąd ku konserwowaniu i zachowaniu zmurzających i z nieszczęść dziejowych ocalałych resztek ruin, owych niemych świadków naszej przeszłości, wzrasta ustawicznie, a dowodem tego liczne restauracje zamków, z których dość wspomnieć: Rzeszów, Wiśnicz, a obecnie Tyniec, który z gruzów podnieść i zachować postanowiła rada powiatowa w Wieliczce.

Na wyniosłej skale, o której podnóża obijały się fale Wisły, wznosiło się stare warowne grodzisko, do dziś pod tą nazwą znane, które zarazem było nadgranicznym grodem chrobackim przeciw książętom lechickim. Gdy królowie polscy zajęli Chrobacę, a Bolesław Chrobry ustalił panowanie nad tą piękną krainą, — gród ten, założony bezsprzecznie przez Czechów (tyn w języku czeskim znaczy gród), stał się pograniczną placówką przeciw nim samym.

Wiele krąży opowieści o grodzie tynieckim wśród ludu okolicznego, wiele z nich dostało się do historii, zebranych skrzętnie przez ówczesnych kronikarzy, — a z tych jedna najwięcej chyba romantyczna i powszechnie znana, o Walgierzu Udalym i niewiernej jego żonie, Heligundzie, zapisana

została przez Boguchwałę w pierwszej połowie XIII wieku.

Później powstanie Wawelu, jako polskiego grodu przeciw czeskiemu Tyńcowi musiało obniżyć jego znaczenie do drugorzędnych grodów, a oddanie go w ręce zakonników benedyktyńskich potwierdzałoby tylko przypuszczenie, że uczyniono to dla złamania znaczenia grodu. Tuż obok grodziska rozsiedli się więc benedyktyni; według jednych źródeł, już za Bolesława Chrobrego, według innych za Kazimierza Odnowiciela. Wyposażenie zakonu było szczodre i opat tyniecki „abbas centum villarum” uchodził za najlepiej uposażonego w Polsce.

W walce książąt o tron krakowski Tyniec odgrywał wielkie znaczenie, ale też cierpiał na tem i sam klasztor, który zresztą padł kilkakrotnie ofiarą zniszczenia tatarów. Dopiero w 1270—80 latach dźwignął się z upadku Tyniec, ale prawdziwie zyskała ta siedziba dopiero na świetności za Kazimierza Jagiellończyka, którego synowie wraz z Długoszem w Tyńcu przez czas moru przebywali. Wiek XIV i XV są dla Tyńca złotym okresem. Pod rządami dzielnych opatów: Skawinki i Ożgi zabłysnął

Tyniec nietylko skarbami sztuki, ale i nauki. Opactwo tynieckie znakomicie zaopatrzone i składające się z wielu gmachów, obronne z natury miejsca i murem wzmocnione, uchodziło za warownię wielce ważną za owych czasów. W murach jego istniała szkoła, zwana gimnazjum, choć czasy znaczenia benedyktynów w dziejach oświaty w Polsce już mijały.

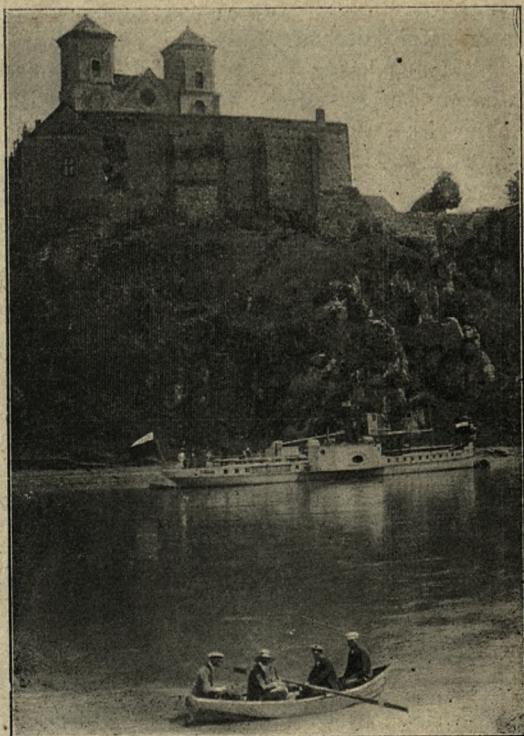
Biskup Łubieński w początkach XVIII-go stulecia przebudował gotycką świątynię na barokową, oraz wystawił nowe zabudowania zakonne, istniejące do dziś dnia poza kościołem w ruinie, a budzące jeszcze obecnie swymi rozmiarami podziw.

Pod koniec istnienia Rzeczypospolitej, Tyniec zabłysnął znowu, jak światło gasnące, utrwalając się w pamięci ludzkiej. Zdobyli go i zniszczyli szwedzi w r. 1655, następnie w r. 1702.

W 1771 r. zajęli klasztor konfederaci barscy i utrzymali się tu blisko rok, stąd ruszając na zamek krakowski, który podstępem zdobyto. W tymże 1772 r. major Wilkoński, dowodzący załogą konfederacką, stawiał w Tyńcu opór sześciotysięcznemu korpusowi oblężniczemu Surowa, a stawiał go tak dzielnie, że pomimo bezustannego przez trzy dni gradu kul i kartaczy, pomimo zrujnowania wież i dachów kościelnych, kolumny napastnicze odparte zostały. Niestety, ten sam major Wilkoński wydał niebawem twierdzę klasztorną w ręce wojsk austriackich.

Po odcięciu Galicyi, Tyniec przypadł Austrii, a z nim liczne i olbrzymie dobra; resztki ocalono tylko tym sposobem, że opat tyniecki został biskupem nowej dyecezyi, wykrojonej z dawniejszej dyecezyi krakowskiej.

Wypędzeni z Bawaryi benedyktyni osiedlili się w Tyńcu za zgodą rządu austriackiego, usiłując go w owym czasie zgermanizować przy pomocy duchowieństwa kraj; niedługo bawili zresztą ci goście, bo w 1809 r., gdy Tyniec wraz z obwodem wielickim przypadł W. Ks. Warszawskiemu, uciekli, uwożąc wielkie łupy.



TYNIEC OD WISŁY

fol. St. Warcholik

Po r. 1815, Tyniec był czas jakiś siedzibą biskupa dyecezyi tynieckiej, a gdy w 1831 r. piorun ugodził w gmachy i zniszczył je, poszły w ruinę stare mury tynieckiego opactwa, aż wreszcie w r. 1900 biskupstwo krakowskie nabyło je, założyło parafię w otworzonym kościele, a część budynków marnie odrestaurowanych obrócono na letnie mieszkania kleryków.

Główną część dobudowań opactwa, wzniesionego przez Łubieńskiego, niszczała aż do obecnych czasów, gdy właśnie rada powiatowa w Wieliczce chyląc się do upadku mury postanowiła podnieść własnym sumptem.

St. Warcholik.

Z Dziejów Miechowa.

W zbiorach kieleckiego oddziału Towarzystwa Krajoznawczego znajduje się oryginalnej treści dokument, powierzony Towarzystwu przez p. Bolesława Markowskiego, znaleziony w papierach dawnego klasztoru w Miechowie, a związany z dzieja-

mi tego właśnie klasztoru i miasteczka. Treść tego dokumentu charakteryzuje dosadnie potoczne stosunki sławetnych obywateli małej miejsciny z połowy XVIII-go wieku, z tego zatem względu podajemy tu rzeczony dokument, przyczem rzecz sama wyma-

ga przytoczenia kilku znanych zresztą szczegółów z przeszłości Miechowa.

Na tem miejscu, na którem dziś leży miasto powiatowe Miechów, była w XII stuleciu wioska tego nazwiska, własność Jaksy. Bogobojny ten mąż, powracając z Ziemi Świętej w r. 1162, przywiózł był z sobą zakonnik reguły św. Augustyna, z tak zwanych „Kanoników regularnych stróżów grobu Chrystusa” (Canonici regulares custodes sacri sepulcri); zwano ich później u nas bożogrobcami, miechowitami, a nawet krzyżakami, to zaś ostatnie nazwisko dostało im się od podwójnego krzyża czerwonego, który im służył za godło.

Fundacya, otrzymawszy od założyciela wieś Miechów wraz z innemi jako uposażenie, rosła szybko w zamożność; to też wkrótce opactwo miechowskie stało się jednym z najbogatszych tego rodzaju zakładów w Polsce, a wieś Miechów uzyskała w r. 1290 od Przemysława przywileje i urządzenia miejskie. Już w r. 1233 wzniesiono tam okazałą świątynię, która długie wieki przetrwała.

Obok powodzenia opactwo doświadczało i klęsk dotkliwych. W roku bowiem 1294 złupił je Bolesław, ks. mazowiecki; w 6 lat potem uczynili to samo węgry. W r. 1311 Władysław Łokietek wygnał mnichy do Węgier za to, że utrzymywali bliskie stosunki z Bolesławem ks. opolskim, a po ich powrocie ograniczył niektóre przywileje. Najbardziej jednak dały się we znaki zarówno klasztorowi, jak miasteczku pożary. W ciągu czterech wieków od r. 1344 do 1745 było ich pięć.

Takie wiadomości o Miechowie znajdujemy w „Starożytnej Polsce”.

Pomijając pożar 16-go lutego 1863 r. ze względu na jego specjalny charakter, pożar którego okropności pamiętają nieliczni już przedstawiciele ówczesnego pokolenia, ostatni ze wspomnianych pięciu, był bardzo groźny. Wybuchł 19 kwietnia 1745 r. w poniedziałek wielkanocny o godzinie 2-jej po południu (Słownik geogr. mylnie podaje rok 1746), a sprowadziły go lekkomyślne strzały podbitej gawiedzi, której okazyę do tej zabawki dał zwyczaj strzelania podczas procesyi wielkanocnej. Spłonęło wtedy miasteczko wraz z klasztorem i świątynią z początku XIII stulecia. Ocalała jedynie dzwonnica okazałej wysokości, zbudowana w postaci prawidłowego graniastosłupa z oknami romańskimi, zakończona wierzchem w kształcie kuli. Ruina była zupełna, zgorzało bowiem nawet wewnętrzne urządzenie kościoła, a sklepienie upadło; zakonnicy byli pozbawieni mieszkania, służba boża ustała, stratą zaś nadewszystko niepowetowaną było zniszczenie biblioteki.

Nie koniec na tem. Klęska wywołała zawzięty spór pomiędzy zgromadzeniem zakonnnem a mieszczanami o to, kto był sprawcą tego nieszczę-

ścia, a nadto ostry zatarg przeora klasztoru z opatem o udział w środkach do odbudowania opactwa potrzebnych.

Co się tyczy sprawców pożaru, klasztor słusznie obwiniał mieszczan; ci zaś, miotając publiczne oszczerstwa na konwent, nietylko zwalali winę na niego, lecz nawet zanieśli wprost skargę do opata, jako najwyższego dostojnika w zgromadzeniu i prawnego właściciela Miechowa. Opatem bożogrobców był naówczas Mikołaj Dębowski herbu Jelita, znany stronnik sasów, biskup kamieniecki. Owóż do niego wysłał klasztor pełnomocnika, mającego bronić sprawy konwentu wobec pretensyi i potwarzy mieszczan, przytem dając temu wysłannikowi instrukcyę na piśmie, zawartą w 20 punktach. Jest to właśnie dokument wyżej wspomniany. Stanowczy jego ton zdradza pewne rozdrażnienie oskarżonych, dwa zaś wyrażenia w punkcie 11: „Na to odpowiadam” i „To też dodaję” wskazują, że tu przemawia w imieniu zgromadzenia osobistość, w której rękach spoczywają rządy klasztoru w nieobecności opata. Był to ówczesny przeor zgromadzenia, zarazem jeneralny proboszcz miechowski, drugi po opacie dostojnik w klasztorze, Jakób Paweł Radliński, doktor teologii, autor dzieł teologicznych.

Instrukcyę tę bez podpisu i daty podajemy tutaj w całości, bez zmiany, z zachowaniem form językowych i pisowni, z tym wyjątkiem, że literze *j* w naszym tekście odpowiada *y* w rękopisie, a znaki przestankowe w niewielu miejscach zastosowaliśmy do logicznego biegu myśli.

Puncta informatoria ad actum Commissionis służące (wskazówki pełnomocnikowi).

1-mum. Ponieważ mieszczanie miechowscy tak w suplice swojej do J. W. J. M. Xiędza Biskupa kamienieckiego post incendium (po pożarze) podanej, iako też in publico ubivis locorum calumniose (publicznie i na każdym miejscu, a kłamliwie) udali, że od Konwentu naszego i z naszej okazji Miasto pogorzało, upraszamy, aby nam tego dowiodli, czego jeżeli nie dowiodą, o satysfakcyi, reklamacyi, i karę upraszamy.

2-dum. Udali similiter (podobnie, również) mieszczanie, żeśmy ich do strzelania przymuszali; aby tego dowiodli, upraszamy.

3-tium. Ponieważ dla bliskości i złączenia się obór, chlewów miejskich z konwentem i murem cmentarzowym miasto zgorzało, więc upraszamy, aby Domy tak pobliskie iako i złączone z konwentem i pod samym postawione kościołem od konwentu i kościoła oddalone były, iako to całe podcienie od Cmentarza poczęte aż do staien Konwenckich wokoło się ciągnące i z murami konwenc-

kiemi hinc inde (tu i ówdzie) stykające się, od czego i Domostwo Pani Bobrowskiej nie ma być excypowane. Podobnym sposobem upraszamy, aby i Domy ab origente (od wschodu) pod kościołem blisko przedtym postawione, teraz oddalone były, a to propter securitatem (ze względu na bezpieczeństwo) kościoła i konwentu.

4-tum. W mieście niemasz tylko trzy studnie, więc prosimy o to, aby każdy Mieszczanin rynku miał studnię.

5-tum. W całym mieście, ani na Ratuszu nie było osiek do bronienia pożaru, więc napotym, aby mieli osieki i inne instrumenta do rozerwania ognia.

6-tum. Nietylko na zatyłkach, ale i w Rynku były Domki strzechami poszyte, więc prosimy, aby potym strzechą nie poszywano, i te strzechy, które są w mieście, aby zrucono i dachem pobito.

7-mum. W samym Rynku i około Ratusza pozwalali mieszczanie Domki stawiać i od tego placą (płace) brali i te Domki około Ratusza były

niektóre strzechą pobite, więc prosimy, aby napotym Domków około Ratusza nie stawiano, bo te dodają pożarów w mieście i wielkiego niebezpieczeństwa.

8-vum. O tym też trzeba pamiętać, że mieszczanie w poniedziałek Wielkanocny podczas nabożeństwa, sumy i kazania z wielką w Nabożeństwie przeszkodą i z dużym po mieście hałasem przed Wójtem, Burmistrzami, Cechmistrzami i przed innemi kolejno mieszczanami, gorzałką popiwszy się, szmigusty strzylali, z którego strzelania Gabryel Jachowicz nabrał ochoty do strzelania, i upił się z drugimi, a od tych szmigustów do Domu przyszedłszy, z rurki strzylał pod strzechą. Pierwszy raz gdy strzelił, zapalił gnój, który z niebezpieczeństwem zdeptano, a przecie mu więcej strzylać pozwolono; na to strzelanie patrzył się Gospodarz i Gospodyni, u których mieszkał komorą.

(DN)

T. Włoszek.

IZBA ŁOWICKA.

Strojno i barwnie stanęła izba łowicka przed zdumionym ludem stolicy. Stanęła z plonem swej pracy nie jak przodownica, boś nigdy nie chodziła „na pańskie”, lecz jak dostojna gospodyni swej chaty, skrzętna i pracowita, rozumna i starowna, wzorowa żona i matka pełna powagi, chociaż „twe stroje ukąpane tęczą”.

Zgorszył się przesubtelniejszy artysta, że tu za jaskrawo, za krzycząco; zgorszony odsunął się z rezerwą od tych rozręczonych ścian i pułapu, a przed otwartą ścianą tłumy stały w zdumieniu i nabożnym zachwycie, a każdy czuje się szczęśliwy i pokrzepiony: „a tu mi na sercu letko, sami swoi, polska szopa, i ja z chłopa i wy z chłopa”.

Dziwi się lud stolicy, dziwią się przybywające wycieczki i szepeczą zdumione: czyż to być może? to chyba jeno tak na wystawę? A przecież na drzwiach sali przypięta jest fotografia z natury, zdjęcie w dzień powszedni robione w chacie Pawliny, we wsi Retkach. Widać tam zupełnie to samo, co i na wystawie—do belek przypięte wycinanki barwne, jak kwietny plafon pałacu. Nie tak tu wspaniale i wysoko, a jednak nie lada tu chłopcy przyjdą—„drużby, co pawiami piórami zamiatają pułap izby”.

Widać tam „ubrane” poduszki, całą długość łóżka pokrywające, jako i te w wystawionej izbie, a nad nimi zwarty szereg świętych patronów z kramów odpustowych, ze sklepów pod wałami Jasnej Góry przyniesionych. Więc święty Wojciech i święty Józef, święte Rozalia i Barbara, święta Rodzina, a Panienka Częstochowska parokrotnie.

Pod oknem skrzynia malowana, nie tak barwnie mieniąca się jak krakowskie, ale ta, obiecwana w piosence:

Węże mnie, Jasińku, na zone,

Da ci matuleńka pierzyne

Pierzyne puchowe

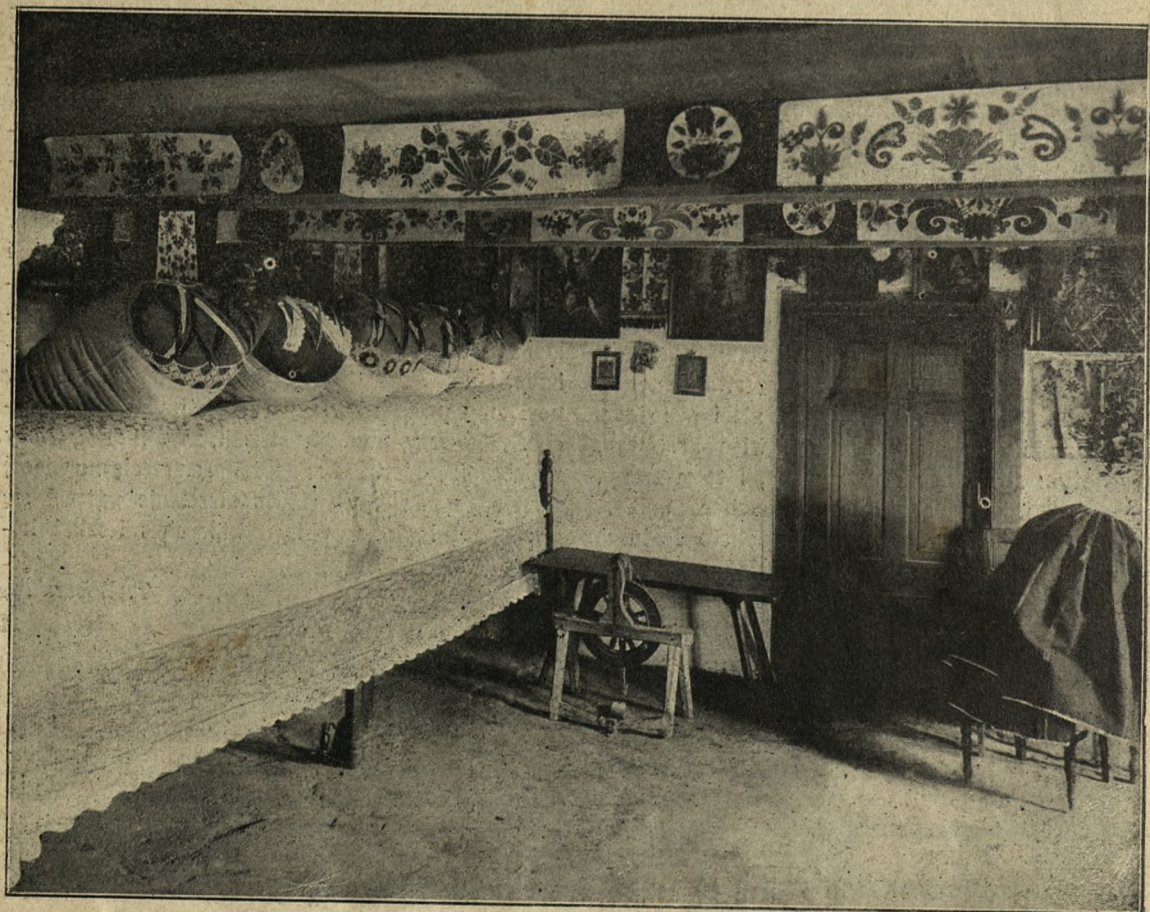
Poduszke pod głowę

Skrzynie malowane

Marysie kochane.

Oj, węż mnie, węż!

Cała ta izba łni barwnością wiosny, tchnie żywiołową siłą miłości. Zdrowy, jedyny zapal, ten sam naturalny pęd, co rozwija pęki jabłoni, co dźwięczy w pieśni skowronkowej i kumanu żab, co zdrowym pyłem unosi się nad drżącym w upo-



WNĘTRZE IZBY PAWLINÓW W RETKACH, POW. ŁOWICKI

fol. M. Wisznicki

jeniu łanem kwitnącego żyta, ten sam zdrowy, naturalny pęd mieni się w pieśni, baśni, poglądach mieszkańców tej izby. „Coraz więcej potrza ludzi, żeniłabym, wydawała”, szczerze oświadcza Klimina, po wójcie wdowa, co zgorzonej Radczyni tłumaczy: „przecie miłość, to rzecz boza, cale nie inso praktyka”.

Cała ta izba tak bliska natury, tak daleka od sztuki, tchnie prawdą i szczerością. Kto gorszy się jaskrawą jej barwnością, kogo razi krzyczące zestawienie barw i kształtów, ten chyba musi rościć pretensje, że kaczeńce zbyt są złociste, musi mieć żal, że maki nie są w kolorze stuszowane, że zagon kwitnącej gryki klóci się w barwie z konieczną i lnem.

To jest natura, którą można wprawdzie przeobrazić na angielski park, ale nietknięty las stokroć będzie zawsze miłszy od niego. I te motywy zdobnicze, gdy przejdą przez subtelność duszy artysty, ulegną wielkim zmianom i przeróbkom, że ledwie ślad ich pierwocin zostanie, jak w mazurkach Chopina zaledwie echo dźwięczy tych jedrnych piosenek z nad Utraty; a w tej jednak izbie staje nie prze-

róbka życia, lecz samo życie, nie hrabianka Iza przebrana za Marcysię, lecz sama Marcysia strojna, barwna, kwitnąca zdrowym życiem pola i łąki, życiem sadu i pszczołnego ula, życiem odpustu i jarmarku, i żniw, i sinych dymów z jesiennego dnia kopania kartofli.

„Z miastowymi to dziś kruchó,
ino na wsi jesce dusa,
co się z fantazyją rusa”.

Kocham tę izbę rozśpiewaną i to jej bujne życie. Kochają ją te tłumy widzów wystawowych, co stoją zwartą gromadą przed jej wnętrzem i szepczą: „czyż to być może?” Oni nie znają tego życia, ale instynktownie czują, że tam jest prawda, tam odrodzenie, tam potęga, i moc niezłomna. Wiekuista tęsknota stawia tu przed oczy zupełnie inne życie, inne dążenia, inne szlaki bytowania.

„Pośród murów szarej pleśni:
wszystko było szare, stare,
a tu naraz wszystko młode,



fol. L. Ostaszeński

RODZINA PAWLINÓW PRZED SWOJĄ CHALUPĄ

W środku grupy obok okna stoi Anastazja Pawlina, autorka najładniejszych w okolicy wycinanek (patrz str. 166).

znalazłem żywą urodę,
więc wdecham to życie młode;
teraz patrzę się i patrzę
w ten lud krasy, kolorowy,
taki rzeźki, taki zdrowy,
choćby szorstki, choć surowy”.

Z izby tej bije i promienieje wielki rozmach twórczy i artystyczny naszego ludu. Rozmach, który jest dla nas balsamem pokrzepienia, złotą zorzą nadziei, że nie może zasnąć lud, który ma w sobie tyle siły i energii, tyle dążenia do kultury i postępu.

Ironiczny uśmiech przewija się czasem po ustach zwiedzających: izba chłopska, a Mickiewicz na ścianie, a mapa na drugiej? Zarazby tu owym ironizującym odciął Czepiec: „ptak ptakowi nie jednaki, człek człekowi nie dorówna”. Izba izbie też nie dorówna. Są gospodarze na 30 morgach, a są i na 3-ch. Naturalnie, że izby ich nie mogą być jednakie. Jeżeliby na wystawie urządzono pokój mieszkańca Warszawy, to proszę bardzo, jakiby obrano typ? Czy suterynę z Żelaznej, czy salon z pierwszego

piętra na In tytutowej, czy facyatkę z Tamki, czy trzeciak z Hożej? Wszystko to wszakże pokoje mieszkańców Warszawy.

Tak też i izby są różne, a izba na wystawie jest izbą zamożniejszego gospodarza, takiego, który skończył Pszczelin, jego żona Kruszynek lub Mirosławice, gospodarza, który brał udział w wycieczkach do Czech, Moraw, a wybiera się do Danii. A przecież izba ta posiada meble nie robione specjalnie, lecz z chałupy wzięte, jej pająki robiła chłopka, jej wycinanki chłopskimi nożycami i chłopską ręką są wycięte, jej subtelne firaneczki wycięła chłopka, jej poduszki nie są ani szyte, ani ubierane specjalnie na wystawę, bo na fotografii z natury widzimy takie same.

Cóż więc budzi niedowierzanie? Czy ten Mickiewicz, który obecnie dożył tej pociechy, że jego portret dostał się pod strzechy? Czy ta mapka, czy te parę gazet?

„A i my tu cytomy gazety

I syćko wiemy,

sami się do świata garniemy—zapewnia Dziennikarza Czepiec i dodaje z odcieniem wyrzutu:

„A panowie to nijak nie wiedzą,
że chłop chłopskim rozumem trafi
choćby było i daleko”.

Może mieszkanię miasta nie dowierza tej mapie, bo niewiadomo czy w pokoju na Instytutowej mapa taka się znajdzie. Może nie dowierza szczerze do zębów, bo ani w suterynie na Żelaznej, ani na facyatce Tamki jej nie widział (bo zresztą nigdy tam nie był).

Ale ja wierzę głęboko i szczerze, że gospodarza i gospodynię nauczono w szkole, iż higiena zębów jest niezbędna, nauczono go znać się na mapie i potrzebować jej, nauczono go, że naród ma swych proroków, których obok świętych patronów zawiesić może i powinien. On to sam zresztą czuł instynktownie i czekał tylko na moment ocknięcia

się z niedoli wiekowej i śpiączki, a gdy już pojął, to i zrozumiał, i ze swą żelazną konsekwencją chłopską poprowadził sprawę, bo trzeba znać chłopą nie tylko z Czarrowskiej Ławy, ale i z Chłopów, a przede wszystkim z życia:

„A bo chłop i ma coś z Piasta,
coś z tych królów Piastów—wiele!
Kiedy sieje, orze, miele,
taka godność, takie wzięcie;
co czyni, to czyni święcie;
godność, rozważa, pojęcie.
A jak modli się w kościele,
taka godność, to przejęcie;
bardzo wiele, wiele z Piasta,
Chłop potęgą jest i basta.”

Al. Janowski.

W obronie własnej.

„Tygodnikowi Suwalskiemu” nie podoba się „Ziemia”. Być może zresztą, nie tyle „Tygodnikowi”, ile autorowi dwóch wycieczek polemicznych, zamieszczonych w №№ 5 i 9 tego pisma, ukrywajacemu się pod trzema gwiazdkami; — że jednak za artykuły anonimowe, niezaopatrzone komentarzem redakcyi, pismo brać musi odpowiedzialność na siebie — wychodzi to bez mała na jedno.

Ani dziwić się, ani oburzać na to potępienie wyników pracy naszej nie chcemy. Raczej nawet w pewnych chwilach i do pewnych granic go wi jesteśmy mu współczuć. Tak się nam samym, to, co robimy, wydaje nie dość doskonałe, tyle pola leży jeszcze z *musu* odłogiem, tak często trzeba się zadowolnić rzeczą zaledwie poprawną, gdzieby się chciało dać rzecz doskonałą. Czy przyczyna leży w nas samych, w naszej nieudolności, lenistwie i braku pomysłowości, czy też istotnie jest nią twardość gleby, z której oddawna po raz pierwszy plug skibę odwała, pozostawiamy do uznania innym, zwłaszcza tym, którzy się sami tej roboty imali, którzy od łatwej krytyki przechodzili do twórczej pracy.

To jedno pewne jest, jak mur pewne, że krytyki nie unikamy, że ją wręcz przeciwnie witamy z otwartemi rękoma. I dlatego natarcie pana z pod trzech gwiazdek suwalskich zrobiło nam na razie bezmł przyjemność. Niestety, było to tylko pierwsze wrażenie.

Ale zanim pójdziemy dalej, pozwolę sobie

zrobić krok wstecz i nawet — choć bez żadnej tym razem przyjemności — parę kroków w bok.

Był w pewnym mieście w Królestwie oddział Towarzystwa Krajoznawczego. Był i spał. Spał tak wardo, że go nie mogły przebudzić ani listy zarządu głównego, które pozostawały bez odpowiedzi, ani cyrkularze i odezwy, rzucane do kosza, ani najnatarczywsze przynaglanie tegoż Zarządu, który wobec takich faktów nie umiał poprostu ustalić liczby swoich oddziałów. Nie mogąc wreszcie znaleźć innej drogi wyjścia z tej jedynej w swoim rodzaju sytuacji, zarząd w osobie swego przewodniczącego, zwrócił się prywatnie i poufnie do jednego z członków tego oddziału, prosząc o wyświetlenie sprawy i — o ile to uzna za potrzebne i właściwe — o zgromienie „w odpowiedni sposób” kogo należy w organie miejscowym. Osoba, do której list ten był skierowany — powtarzam: list prywatny i poufny — za „odpowiedni sposób” uznała ogłoszenie go w całości i bez bliższych wyjaśnień w piśmie miejscowym.

Było to oczywiście przysłowiowe zabicie muchy na czole kamieniem. Po tak bezprzykładnem załatwieniu zlecenia posypały się jeden za drugim protesty. Protestował — słusznie zresztą w zasadzie — zarząd oddziału miejscowego przeciwko monitowaniu go za pośrednictwem prasy, zgadzając się poza tem na istotną osnowę listu prezesa; protestował prezes przeciwko nieprawdopodobnemu wręcz o-

głaszaniu listów prywatnych bez woli i wiedzy autora; zaprotestowała wreszcie redakcja pisma, w którym list został zamieszczony, nadmieniając, że skoro w liście proszono „o zgromienie w miejscowym organie”, redakcja nie mogła przypuszczać, żeby wydrukowanie go było czemś wbrew woli autora. (Zachodzi tu oczywiście co najmniej gruba pomyłka w ocenie wartości wyrażen. Prosić kogoś o „zgromienie” bezczynności oddziału w prasie, znaczy tyleż, co zachęcać do poruszenia sprawy w swoim imieniu i w jej ujęciu ogólnem; nie znaczy natomiast bynajmniej, żeby autor listu, wyobrażający w tym wypadku niejako władzę zwierzchnią oddziału, uważał za możliwe czynić mu wymówki publiczne).

Tu zdawałoby się winien być kres tej obustronnie przykrej i niesmacznej afery. Niestety, jakby dla rozdmuchania zarzewia, które groziło zgaśnięciem wśród dymu, wplątał się ktoś trzeci. Wjechał w szranki „ze spuszczoną — jak sam twierdzi — przyłbicą” pan z pod trzech gwiazdek.

Trudnoby może było ustalić, w jakim celu i w czym imieniu. Nie w swoim osobistem, bo bierze nietyleszczęśliwie, ile gwałtownie oddział o którym mowa w obronę (boję się, że jeszcze jedna mucha na czyjemś czołwie zginie od tego kamienia); nie w imieniu oddziału, bo, o ile wiadomo, oddział tamtejszy nie pieczętuje się ani trzema, ani wogóle żadnymi gwiazdkami i nie solidaryzuje się z wystąpieniem swego obrońcy, — jakkolwiek i nie występuje przeciwko niemu¹⁾. Nie są to dociekania teoretyczne, do których każdy, pod swoim własnym nazwiskiem czy pod pseudonimem ma prawo; poruszona bowiem jest tu tylko konkretna sprawa sporu między instytucją publiczną i jej częścią — oddziałem, sprawa osób, nie idei. Nie jest to tem mniej próba spokojnego i życzliwego zepchnięcia sprawy z niewłaściwego forum szermierki publicznej w łóżysko cichej i zbożnej pracy, choćby po wygładzeniu pewnych nieporozumień, ton bowiem artykułu jest ostry, bezmała bezwzględny, raczej namiętnemu głosowi obrońcy czy oskarżonego, niżli spokojowi rozjemcy podobny. I dlatego niesłusznie pan z pod trzech gwiazdek ma się za rycerza, co w szranki pod spuszczoną przyłbicą wyjechał; to się po polsku prościej i dobitniej nazywa — strzelać z za płotu.

Stąd wynika, żeśmy temu niepowołanemu obrońcy musieli nieco ostrzej w oczy popatrzeć. Wszelka krytyka, choćby ostra, choćby bezwzględna i gorzka, może być pożyteczna i zdrowa, z wyjątkiem tej, której brak zasadniczego warunku:

¹⁾ Wogóle, co się tyczy oddziału, miło mi jest stwierdzić, iż po dokonaniu pewnej reorganizacji zapowiada się niejaki ożywienie działalności oddziału.

szczerości i drugiego, bodaj ważniejszego — dobrej woli.

Ale żeśmy już uprzednio a mocno postanowili sobie nigdy najblahszego bodaj zarzutu bez ścisłego odważenia na szali nie odrzucać, żeśmy tak głęboko o niedoskonałości pracy swej przekonani, wzięliśmy i te uwagi tak niełaskawego na nas krytyka pod ścisłą rozwaagę, mówiąc górniej... jeżeliśmy spożywać chleb, choć mógł być zatruty. No i jakoś na szczęście nie struliśmy się. Okazało się bowiem, że w chlebie nie ma trucizny, tylko zwykły zakalec, od którego można brzydko chorować, ale od którego zdrowy człowiek nie umiera.

Otóż w artykule, właściwie w artykułach, było ich bowiem dwa, pana z pod trzech gwiazdek dają się wyodrębnić zupełnie wyraźnie trzy zgola ze sobą pozornie niepowiązane momenty. Autor broni w sposób mocny, śmiały i... wielce oryginalny działalność, a właściwie bezczynność oddziału miejscowego. Napada w sposób również mocny i bezceremonialny na zarząd główny w osobie jego prezesa, i wreszcie chłoszcze bez miłosierdzia „Ziemię”, bo... jej redaktor jest przypadkowo właśnie owym nieszczęsnym prezesem.

Nas oczywiście obchodzi przede wszystkim ten punkt trzeci. Jeżeli poruszymy w najzwęższym bodajby streszczeniu dwa pierwsze, to chyba dlatego, żeby uzmysłowić czytelnikowi niebawmy zaiste bieg myśli i ujmowanie sprawy autora, przymioty, których skutki mają nam jak dachówka z efektownym gestem spaść niebawem na głowę.

Otóż, jeśli oddział miejscowy nic nie robił, to dlatego, że mu zarząd główny nie poddał „myśli i organizacji”, nie podsunął „planu, systemu, które nie są znane pierwszemu lepszemu, nawet największemu miłośnikowi ziemi ojczystej”, nie „powiadomił o historycznych i pamiętnych miejscowościach” w okręgu działalności oddziału, nie wskazał, „że tu urodził się niepospolity obywatel kraju, że w takiej okolicy są pomniki przeszłości, wierzeń, pola bitew, miejscowości o takich a takich legendach, baśniach, pieśniach i t. p.” Krótko mówiąc: „brak odpowiedniej myśli, organizacji, a tem samem wskazówki z historii, etnografii i t. p. ze strony Głównego Zarządu są przyczynami martwoty kółka tutejszego.” Na skromną uwagę prezesa, że plan, organizację i metodę krajoznawstwa porusza „Metodyka wycieczek” i roczniki Towarzystwa, że poza tem oddział niejednokrotnie do wspólnej pracy wzywano, replikuje wymagający zaiste krytyk, że mało było wydać „Metodykę”, trzeba było przyjechać i na miejscu ją z członkami oddziału przerobić, co „dałoby stokroć więcej korzyści, aniżeli obecność delegata w Warszawie”. „Wykazałoby to sprawność centrali Krajoznawczej” i oczywiście,

zauważmy nawiasem, rozdarłoby nam prezesa pomiędzy 23 oddziały prowincjonalne, nie licząc Warszawy. No, no, no... a myśmy sobie prosto- dusznie sądzili, że to właśnie oddziały po dokład- nym przestudyowaniu materiałów już zebranych, zechcą nam pomódz w zbieraniu dalszego ciągu tych wierzeń, podań i pieśni, materiałów i danych. I takeśmy się cieszyli, takeśmy podziwiali, co może zrobić energia jednostki, patrząc np. na oddział w Zagłębiu, również niesety puszczony przez zarząd... bez niańki.

Tyle — i dość chyba na tem — o obronie od- działu.

Że pominę osobiste wycieczki przeciwko pre- zesowi, pozwoli szanowny przeciwnik. Czynię to przez respekt dla jego schowanej pod przyłbicą osoby. Przez szacunek dla niego, a jeżeli mu to nie wystarcza, przez szacunek dla „Ziemi”.

A teraz o sobie. Dwa, zdaniem krytyka, mamy grzechy śmiertelne na swoim sumieniu. Jeden obciąża nas pospół z zarządem Towarzy- stwa Krajoznawczego, za drug własną trzeba bę- dzie nałożyć głowę.

Pierwszy — to brak wystarczającej ilości artyku- łów o polach bitew, pomnikach przeszłości i miejscach, gdzie się sławni obywatele rodzili, o podaniach i baśniach. Zamieściliśmy ich wprowadzić w roku ubiegłym podług spisu rzeczy s z e ś c d z i e s i ą t s z e ś c, ale to krytykowi nie wystarcza; jego gust i apetyt są na szerszą skrajane miarę. I dlatego nie możemy się zrozumieć, — bo nam to wystarcza, a dla niektórych znów z naszych czytelników, rów- nież jak pan krytyk indywidualnie rzecz traktu- jących i narzekających, że się zasklepiamy „w dworach i pałacach”, jest nawet za dużo.

Wobec niejasnego stawiania kwestyi i trzymania się przez krytyka metody przeważ- nie negatywnej, metody potępień a nie wskazań, nie wiem, co on nazywa krajoznaw- stwem. Bo gdyby mu takie zakreślał granice, jak my to już we wstępnej zapowiedzi czyniliśmy, gdyby czytywał „Ziemię” — o czem wątpię — gdyby był już w № 2 roku zeszłego zapoznał się z artyku- łem dr. Sawickiego „Szkic programu badań krajoznaw- czych”, uznałby, że nawet opisanie wszystkich pól bitew i miejsc urodzin krajoznawstwa nie wy- czerpuje. I nie pisałby pod naszym adresem: „Wy- dawnictwo „Ziemi” powinno pamiętać, że jeżeli ma być ono organem, budzącem wspomnienia i mi- łość dla zabytków przeszłości, to powinno dawać w tym kierunku natchnienie kółkom prowincyo- nalnym”. Otóż my takim organem nie jesteśmy. Ci, którzy z nami szli od początku, którzy nas czytują, wiedzą że w sprawach pamiątek narodowych zabieraliśmy głos kilkakrotnie, że występowaliśmy — o ile nas na to stać

było — mocno i żywo, że broniliśmy spadku i dziedzictwa przeszłości przed głupotą czy złoczyn- stwem ich dzisiejszych, przemijających posiada- czy, że nawoływaliśmy do nieuronienia ani jednej cegły ze starych murów, ani jednego faktu z zapa- dających się we mgłę wspomnień, do zachowania ich choćby jako ziarna pod siew. Ale tem niemniej tu kresu działalności swej nie upatrujemy i tem treści krajoznawstwa wyczerpać nie myślimy. My na kraj chcemy patrzeć, jak żywi ludzie na żywy or- ganizm, który już żyje lat tysiąc, a żyć będzie — wierzymy w to — długie jeszcze tysiące, z którym łączą nas nici tak liczne i tak głęboko w dusze polskie sięgające, że zrywać żadnej z nich bez niebezpieczeń- stwa dla życia niewolno. Patrzymy na niego nie jak miłośnicy przeszłości na muzeum pamiątek, nie jak zbieracz osobliwości, i nie jak przyrodnik, ekonomista czy etnograf, tylko jak patrzeć powin- nien polak, który chce wiedzieć o ziemi swej wszyst- ko i któremu wszystko jest drogie. Nie parą, ale setką oczów patrzylibyśmy, gdybyśmy je mieli; nie jedną, ale tysiącem rąk uczepilibyśmy się tej ziemi, bylebyśmy niemi władni być mogli.

I dlatego piszemy nawet o „Sośnie w Dro- bindze” lub o „Kamieniu pod Szauliskami”. Że poza tem ktoś w tych drobiazgach może dopatrzeć cze- goś innego ponad zwykle — wczasy krajoznawcze, niepozabawione zresztą cennych uogólnień i na głę- bszej obserwacji opartych, że to kogoś może aż mier- zić, trudno poprostu uwierzyć. Pańskie gwałtowne i uporczywe natarcie na rzeczy tak proste, tak dro- bne, a tak zarazem w charakterze przyczynków cenne, zaliczam właśnie na karb wspomnianych już „wycieczek osobistych”, o których radbym przemilczał. Wspomnę tylko — nie dla czężej chwał- by, lecz dla podkreślenia wartości zarzutu — że za te właśnie „rzeczy bezwartościowe” otrzyma- liśmy wyrazy uznania od osób, których kompe- tencya nie podlega wątpliwości nawet chyba w obozie gwiazdzystym.

Pozostaje jeszcze grzech drugi, sprawa, której szanowny krytyk przeboleć, strawić, a bodaj że i rozgryźć nie może. Tym razem — po załatwieniu się z tekstem — chodzi o ilustracje, w pierwszym rzędzie o ten dział ich, któremu nadajemy wspólne miano „naszych krajobrazów”. O „pierwsze lepsze fotografie”, zdaniem surowego sędziego, o „ama- torskic, zbierane” (?) zdjęcia, o „zapełnianie je- dnej stronicy wydawnictwa bez korzyści i celu dalszego” rzeczami, które można conajwyżej uwa- żać za „wzorki do rysunków szkolnych”, o widoki, które mogą być równie dobrze z gub. wiackiej lub z Syberyi. „Pozostawiać bez odpowiedzi — pisze w drugim artykule pan trójgwiazdzysta — zarzuty co do bezwartościowych fotografii, bez opisu i nie- mal wzmianki, gdzie jest ta miejscowość, to jest



Z NASZYCH KRAJOBRAZÓW.



22. Z OKOLIC KIJOWA POD ŚWIATOSZYNYM

fol. W. Męczyński

dobrze dla amatora-zbieracza, ale nie dla poważnego wydawnictwa”.

Cóż zrobić, kiedy my właśnie takimi „amatorami-zbieraczami” jesteśmy. Mówiąc czyściej, a będzie to zarazem i zrozumialej, po polsku, takimi miłośnikami, którzyby radzi piękno własnego kraju zbierać choćby po jednym okrucu, choćby po najdrobniejszej jego części, żeby z nich powstał szeroko malowany a wspaniały obraz, pouczający pewnych ludzi, jak odróżnić np. gub. suwalską od wiackiej. I jeżeli nie pragnęlibyśmy, żeby nasze widoki służyły za „wzorki szkolne” to tylko dlatego, że zgodnie z zasadami współczesnej nauki rysowania, uczeń nie powinien brać piękna z drugiej ręki, z odbicia nieuchronnie połowicznego i martwego, tylko z wiecznie żywej krynicy przyrody ojczyzny.

To też dajemy te „obrazy natury”, choć na nich żadna bitwa nie była stoczona, choć się na nich nikt nie urodził. Dajemy je, choć się „niczem nie zapisały”, a jeśli mamy dojść do ostatecznych krańców naszego rozumowania, dajemy nawet nie dlatego, że są piękne, tylko że są tak głęboko, tak serdecznie z nami związane, że my z nich wszyscy jesteśmy. Przyznajemy się, że

odwieczna tajemnica związku między świetną kulturą człowieka a podłożem, które nią obrodziło, jak jabłoń bujnym owocem, zajmuje nas szczególnie żywo i stale. Że pragnęlibyśmy, żeby u nas każdy umiał czytać bez zmyłki w obliczu ziemi, która go wydała, żeby ją rozumiał i kochał tak, jak kochać musi swą żywną glebę dęb, tkwiący w niej konarami, czy choćby swe smutne i szare piaski jałowiec, co się ich czepia rozpaczliwie.

I tu jest kres naszej dyskusji. Przypuszczając — w co wierzyć chcemy — że to wszystko, co pan nam zarzuca, opiera się na głębokim namyśle i szczerem przeświadczeniu, dojszybyśmy musieli do wniosku, że nasze stanowiska są biegunowo, beznadziejnie przeciwne, i że na dalszy spór szkoda wprost czasu.

Pójdziemy każdy swą drogą, a z nauk, rad i wskazówek, jakich nam pan tak hojnie i tak niecierpliwie udziela, nie skorzystamy, bo one nie tyczą krajoznawstwa, tylko tego, co się panu krajoznawstwem nazywać podoba. Tego „krajoznawstwa” uczyć się nie będziemy, a swego uczyć kogoś od abecadła nie czujemy się powołani, zwłaszcza gdy uczeń jest tak pewny swojej wyższości i tak bardzo niesforny. Stanisław Thugutt.



5. *Orchis sambucina* L.

Storczyk bzowy.

Bulwy wydłużone, cokolwiek spłaszczone, jedno, lub dwu-palczaste, często zaś opatrzone 2 lub 3 ząbkami. Łodyga dość wiotka. Liście nieliczne, u podstawy obejmujące łodygę, wąskie, rozszerzające się w górze. Kwiaty, zebrane w kłos, dość ścisły. Przykwiatki dłuższe od kwiatów o żyłkowaniu siatkowem. Boczne listki okwiatu odstające, wydłużone, śpiczaste, wewnątrz sklepiasto-stulone. Warżka nieraz jednolita, nieraz trzyklapkowa, o brzegach faldzistych, zaokrąglonych. Ostroga cylindryczna, odstająca, długości załazni.

Spotyka się w 2-ch odmianach: żółtej i purpurowej. Specjalnie lubi podłoże gliniaste.

Kwitnie w maju i czerwcu.

Jastrzębowski znalazł go w okolicach Lublina, a Drymmer w okolicach Kielc.

(DCN)

K. Sztejnbock.



Ostatni tydzień trwania Wystawy Zdobnictwa ludowego cieszył się niezwykle wielką frekwencją. Komitet, pragnąc uprzystępnąć zwiedzenie jej sferom najniezamożniejszym, obniżył w czwartek, piątek i sobotę cenę biletu wejścia do kop.

10. Grupy zaś zbiorowe: młodzieży szkolnej i robotników fabrycznych otrzymywały je po cenie 5 kop. Ochrony, utrzymywane przez Tow. Dobroczynności i niektóre szkoły początkowe, utrzymywane z ofiarności publicznej, korzystały z wejścia na wystawę bezpłatnie. Ogółem w ciągu trwania Wystawy zwiedziło ją około 20,000 osób.

Pragnąc dokonać odpowiednich kopii z eksponatów, zakwalifikowanych do reprodukowania w projektowanym Albumie pamiątkowym Wystawy, Komitet zwrócił się do wystawców z prośbą o pozwolenie na zatrzymanie eksponatów tych w ciągu kilku tygodni w Warszawie.

Osobom, które zadeklarowały swój udział w kapitale gwarancyjnym na pokrycie ewentualnych niedoborów Wystawy, Zarząd Towarzystwa przesłał podziękowanie z oznajmieniem, że koszty urządzenia Wystawy zostały całkowicie pokryte z wpływów za wejście na wystawę i z odezwą o poparcie finansowe projektowanego wydawnictwa.

Na fundusz wydawnictwa pośmiertnego Geografii Ziemi polskich w Redakcji „Ziemi” złożono następujące ofiary:

Stanisława Nowosielska (z Warszawy) rb. 3.
Aleksander Kosiński (z Leśno-Woli) rb. 10.
Włodzimierz Gorjaczkowski (z Warszawy) rb. 5.
St. Lencewicz (pozostałość z kwoty, zebranej na wieniec dla W. Nałkowskiego w Warszawie) rb. 10 kop. 70.
Stanisław Thugutt (z Warszawy) rb. 3.

Sprawozdanie Wydziału Meteorologiczn. P. T. K.

W końcu stycznia ustaliła się w naszym kraju mroźna pogoda, która przetrwała prawie bez przerwy do 15-go lutego. Tylko dnia 4-go lutego zaszło niewielkie, ocieplenie, przyczem temperatura przekraczała punkt topnienia lodu, lecz za to już dnia 6-go lutego wzięły bardzo silne mrozy, dosięgające -20°C . W następnych dniach mróz zelżał nieco, lecz w dniach 13—15-ym lutego znowu nastąpiły jeszcze surowsze mrozy, dochodzące miejscami do -25°C i niżej. Po dniu 15-ym lutego nagle się ociepliło, i już do końca miesiąca pogoda była łagodna i wilgotna. Maximum temperatury $+8^{\circ}$ do $+10^{\circ}\text{C}$ notowano dnia 24-go lutego.

Średnia temperatura miesieczna wynosiła około -4°C i była trochę niższa od normalnej.

Opady były częste i obfite, szczególnie w drugiej połowie miesiąca i dosięgły przez cały miesiąc średnio 47 mm, spadłych w 16—17 dniach. Znaczniejszym opadem wyróżnia się w całym kraju dzień 18-ty lutego. Pokrywa śnieżna niewielkiej grubości (od 2 cm na po-

ozątku do kilkunastu centymetrów w końcu okresu mroźnego) trzymała się około 20 dni.

Długość usłonecznienia była większa, niż średnio w latach ubiegłych. Naprz. w Warszawie wyniosła 70 godzin, podczas gdy średnio w 9 latach ostatnich było po 56 godzin.

Niżej są zamieszczone niektóre dane z poszczególnych stacji P. T. K.

a) Temperatura:

Nowa Słupia: temperatura średnia: -4° C; temperatura maximum $+8^{\circ}$, dnia 24-go lutego; temp. minimum -21° C. dnia 14-go lutego.

b) Opady:

Wysokość w mm.	Liczba dni z opadem
Bieliny	91 17
Św. Krzyż	85 23
Nowa Słupia	67 18
Suchedniów	44 17
Jędrzejów	44 18
Wysokie (p. krasnostawski)	54 17

□□□□□□□□□□

Nowe książki.

Wacław Józef Jaskłowski. *Żarnowiec i jego okolice. Zarys historyczno-etnograficzny. We Lwowie 1910*, str. 127.

W szeregu monografii miast i miasteczek naszych, jakie się ukazały w czasach ostatnich, ta jest bezspornie jedną z cenniejszych, i przez swoją drobiazgową, pracowitą sumienność i przez szerokie ramy, jakie sobie autor zakresił. Rzecz tem więcej godna zaznaczenia, że dzieje ubogiej miejsciny, w której kiedyś tam siedziała na wygnaniu Adelaida, żona Kazimierza Wielkiego, kiedyś w zamierzchłej przeszłości bawił na zamku Władysław Jagiełło, nie przedstawia nic nie już osobliwego, ale dającego się uwypuklić, zaznaczyć, podkreślić. Chyba, że w r. 1812 zmarł w niej, przejazdem do Napoleona bawiący Joel Barlow, poseł Stanów Zjednoczonych, pochowany na cmentarzu miejscowym. Ale to fakt drobny oczywiście i z istotną treścią życia wewnętrznego osady nie związany bynajmniej. Tem niemniej przeszłości miasta poświęcił autor nie tylko znaczną część swej książki, ale i wiele zmudnej pracy, mozaikowego układania szczegółów, dających w całości obraz dość żywy, dążąc przytem do pewnej syntezy, do pewnego wyprowadzenia wniosków ogólnych. Niezwykle np. interesujące są tabele — znane zresztą częściowo choćby z cytowanych w „Słowniku Geograficznym” lustracji, ale nie tak systematycznie ułożone i nie tak skomentowane — rzemiosł i handlu w Żarnowcu w latach 1545, 1569, 1581, 1620, 1660 i 1789, wykazujące poglądowo niezmiernie smutne konsekwencje katastrof drugiej połowy wieku XVII i idących wślad za nimi ruiny i dezorganizacji naszego stanu miejskiego. Uzupełnieniem tabeli powyższej służyć może niemniej ciekawa tabela ruchu ludności, oparta w r. 1673 na rejestrze pogłównego, w w. XIX na urzędowych spisach statystycznych ludności.

Takie jednak rzeczy znaleźćby można, choć mniej może starannie i planowo opracowane, w innych pokrewnych pracach tego rodzaju. Prawdziwą natomiast niespodzianką i prawdziwą ozdobą książki jest dział statystyczno-etnograficzny współczesny, dział, który w olbrzymiej większości wypadków bywa przez autorów monografii naszych miasteczek — i nie tylko miasteczek — zbywany byle czem, lekceważony, jeśli nie wręcz za nawias wyrzucony. Jak dowiadujemy się z przedmowy, autor, bawiąc w ciągu dwóch lat w charakterze sędziego gminnego na miejscu, miał możność podpatrzeć życie tamtejsze z jego strony niejako wewnętrznej, patrzył zaś sumiennie, i, co większa, patrzył, jak człowiek, który umie szczegóły wiązać w całość.

Jeżeli roztoczony przed oczyma czytelnika obraz jest posępny, niekiedy poprostu odrażający, nie jest to zapewne winą obserwatora, nie jest nawet, jak wiemy, bez żadnych zastrzeżeń winą warunków miejscowych. Takie zaś wypełnienie suchego schematu urzędowych, poprawianych zresztą gdzie zachodzi potemu potrzeba, cyfr statystycznych, treścią wewnętrzną, takie uchwylenie życia zbiorowego na gorącym uczynku może mieć kiedyś dla przyszłego badacza stosunków naszych warrość wprost nieocenioną. Jakże wartościowym, choć tak drobnym przyczynkiem jest np. bilans zagrody włościańskiej Kazmierza Greli z Koryczan pod Żarnowcem, z najdokładniejszym wyszczególnieniem na zasadzie notatek własnoręcznych Greli ilości i rodzaju gruntu, wysiewu i zbioru zboża, ilości inwentarza, sprzężaju i narzędzi rolniczych, dochodów i wydatków. To są szczegóły, które się oczywiście grubym okom wielkiej statystyki wymykają, a które powtórzone wielokrotnie, podsumowane i oświetlone, lepiej nam pozwolą wniknąć w wewnętrzne życie zagrody, niż intuicyjnymi, a czasem niestety i tendencyjnymi błyskami tworzony jej wizerunek „na oko”.

Zamyka pracę szereg dokumentów, związanych z dziejami Żarnowca, przeważnie nadań i przywilejów królewskich (najstarszy Wł. Jagiełły z 1396 r.).

Cennej w całym tego słowa znaczeniu krajoznawczej monografii można powinszować autorowi. Zaznaczamy nawiasem, że w czasach najostatniejszych został on przewodniczącym zarządu oddziału Miechowskiego P. T. Krajoznawczego i że mamy wszelkie prawo spodziewać się od niego prac niemniej cennych z szerszego tere-
T—t.

□□□□□□□□□□

Kronika Krajoznawcza.

+ W Towarzystwie weterynarzy rosyjskich w Petersburgu prof. Ekkert i weterynarz Fieders zdawali sprawę z badań swych, nad epidemią panującą w maju i czerwcu r. b. wśród zwierząt domowych na całym obszarze Puszczy Białowieskiej. Zaraza ta nosi miano „pasterolloy Bollingera”.

Wykazy straży leśnej stwierdzają, że w Puszczy Białowieskiej jest obecnie: 730 żubrów, 124 losie, 5,177 jeleni, 1,402 danieli, 4,344 sarn, 1,842 dziki, ogółem — 13,619 sztuk. Zaraza, grasująca wiosną r. z. w puszczy, napastowała żubry, jelenie, dziki oraz bydło domowe i świnię.

Ogółem padło zwierząt dzikich w ciągu wiosny i lata 1,104 sztuki. Tak poważne straty wśród zwierząt, zwłaszcza żubrów, pozostających na prawach ochrony specjalnej, oczywiście, zaniepokoiły administrację puszczy.

Główny zarząd apanaży i ministerium spraw wewnętrznych wysłały na miejsce 16 weterynarzy pod przewodnictwem prof. Ekkerta, który stwierdził istnienie pasterollosy Bollingera, która to epizootya istnieje w puszczy oddawna i tylko od czasu do czasu wybucha wyjątkowo silnie.

Miedzy innymi, weterynarz K. Wróblewski, bawiący w puszczy przed dwoma laty w komplecie ekspedycji naukowej z ramienia Akademii nauk, przepowiadał takie wybuchy epizootyi. Potwierdził on sprawozdanie prof. Ekkerta i wyjaśnił, że przyczyną choroby tej u żubrów jest przede wszystkim brak naturalnej paszy leśnej dla tych zwierząt, który to brak został spowodowany zbyt niemiernym rozmnożeniem hodowli jeleni.

Z dyskusji, która się wywiązała na temat owej epizootyi i środków zaradczych przeciw niej, wyjaśniło się, że sprawa hodowli i lecznictwa żubrów, stanowiących istne bogactwo i wyróżnienie naszego kraju (zwierząt tych już dziś więcej nigdzie niema), stoi na nader niskim poziomie. Niedosć jest znana ani natura tych zwierząt, ani ich potrzeby i przyzwyczajenia, stąd więc, o ile nie nastąpi pomyślny zwrot w tym kierunku, żubry z Puszczy Białowieskiej mogą wyginąć doszczętnie.



+ Na utrzymanie zamku cesarskiego w Poznaniu wstawił pruski minister finansów do budżetu państwa sumę roczną 88,600 marek. Zamek, jak wiadomo, kosztował ludność podatującą około 6 milionów marek i jest niezamieszany. Utrzymanie w porządku sal i pokojów, ścieranie kurzu z mebli drogich, a przez nikogo nie używanych, czyszczenie pustkami świecącej budowli wymaga całego szeregu urzędników, odźwiernych i dozorców, wyposażonych za pracę sutemi pensjami. Nie ma wątpliwości, że sejm pruski pozycję tę przyjmie bez dyskusji.

□□□□□□□□□□

Odpowiedzi Redakcyi.

P. Waławowi Dobkosiowi w Ursynowie. Książki, poświęcone specjalnie kanałowi Augustowskiemu, nie znamy. Pewne szczegóły znaleźć można u Aleks. Połujańskiego: *Wędrówki po gub. augustowskiej w celu naukowym odbyte.* Warszawa, 1859, w *Wielkiej Encykl. Illustr. art. Augustowski kanał*, w № 3 „Ziemi” z r. 1910. Mapy w którymkolwiek z wielkich, dobrych atlasów, mapki podręczne, turystyczne, niestety, jak obecnie tylko niemieckie: Liebenow—Ravenstein, sekcja 29; cena 85 kop. (u Arcta w Warszawie).

Żubrowi Białowieskiemu. Z nowszych atlasów, o które Sz. Panu chodzi, wymienić możemy:

1. Thome. *Flora von Deutschland, Oesterreich und Schweiz.* I. Dział. *Phanerogamae* — 4 tomy, nie sprzedawane oddzielnie—cena Mk. 80.25. II Dział *Kryptogamen.* 3 tomy—cena 54 Mark.

2. Schleichtendal, Langethal u. Schenk. *Flora von Deutschland.* 31 tomy ze spisem.

3. Reichenbach. *Icones Florae Germanicae et Helvetiae* — wyszło 18 tomów. Cena tomu 60 rs.

OD ADMINISTRACYI.

Przypominamy Szanownym Prenumeratorom, że czas odnowić przedpłatę na kwartał II-gi.

TREŚĆ: dr. B. Dybowski—Dwie Świtezie (z 1 ryc.); Dwory, zamki i pałace. 23. St. Wyszyński—Pałac w Stoku (z 1 ryc.); St. Warcholik—Tynec (z 1 ryc.); T. Włoszek—Z dziejów Miechowa; Al. Janowski — Izba Łowicka (z 2 ryc.); Stanisław Thugutt — W obronie własnej; K. Szejnbok — Ze skarbów naszej przyrody (z 1 ryc.); Z Polskiego Tow. Krajoznawczego. — Nowe książki. — Kronika krajoznawcza. — Odpowiedzi Redakcyi. —

Poza tekstem: Wycieczka Książaków na wystawie. — Z naszych krajobrazów: 22. Z okolic Kijowa.

Winietę tytułową i ozdoby (motywy krakowskie) w tekście rysował Mikołaj Wisznicki.—Odbito w tłoczni Piotra Laskauera.—Składał i łąkał St. Miścicki.—Odbijał na maszynie Leonard Batylda.—Kłisze wykonano w zakładzie B. Wierzbickiego i S-ki. — Papier krajowy z fabryki A. Moesa w Pilicy.

Redaktor i Wydawca Kazimierz Kulwiec